
[Od redakcji: Pragnąc uczynić zadość życzeniom]

Palestra 19/3(207), 77

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

O D R E D A K C J I: Pragnąc uczynić zadość życzeniom wielu Czytelników „Palestry”, wznawiamy w naszym miesięczniku nieco zapomniany dział, w którym zamierzamy publikować utwory „łżejszego kalibru”. Będą to krótkie felietony lub opowiadania związane tematycznie z warsztatem zawodowym, czasem wypowiedzi o zacięciu satyrycznym bądź jakieś wspomnienia warte odnotowania. W toku pracy zawodowej adwokatów występuje przecież wiele sytuacji niezwykłych, w salach sądowych dzieją się sprawy, o „których się filozofom nie śniło”!

Sądzymy, że publikowanie materiałów o charakterze refleksyjnym czy humorystycznym urozmaici tematycznie „Palestrę” i odpowiadać będzie zainteresowaniom głównych odbiorców czasopisma, tj. Kolegów-adwokatów. Zachęcamy zarazem do czynnego udziału w zasilaniu tego działu różnymi opracowaniami.

1.

Kicz czy arcydzieło ?

O substytucie! Ty jesteś... Ile cię trzeba cenić... (nie o cenę tu chodzi). Rozprawa trwa, a druga już się zaczyna. Czasem na sąsiedniej sali, a przeważnie w innym sądzie. No bo wszyscy znamy tę złośliwość losu, że można przez tydzień nie mieć terminu, a potem trzy tego samego dnia o tej samej godzinie. Wiemy, jak to włos jeży się na głowie w takt melodii „Jedźcie pociąg z daleka, na nikogo nie czeka (...)”. A sąd czekać nie lubi. Oj, nie lubi...

Co robić w tej sytuacji? Wiadomo! Ustawa przecież przewiduje możliwość wyznaczenia zastępcy. I to bez jakichkolwiek formalności, jeśli wypadek jest nagły. Nie potrzeba nawet zgody kierownika zespołu. Trzeba „tylko” znaleźć dobrego kolegę, który się podejmie, a następnie — przymknąć oczy na fakt, że nasz wybawca-substytut nie zna klienta, nie przejmuje się jego losem i pozostaje obojętny wobec pasjonującej (nas) problematyki tej niezwykle ciekawej sprawy, którą my prowadzimy, która nas interesuje, a którą on „w locie” przejął. Przekonani jesteśmy, że przyjęcie substytucji jest koleżeńskim obowiązkiem, a odmowa świństwem, i mamy sprawę „z głowy”. Kolega wystąpi.

Ale co wówczas ma robić najbardziej zaskoczony a najmniej winny klient? Przychodzi do sądu już zdenerwowany (normalna rzecz) i nie widzi „swego” obrońcy, a sprawa już wywołana. No i gdy wówczas w jego imieniu zgłosi się nigdy na oczy nie widziany „nowy” obrońca lub pełnomocnik (ustawa nie wymaga uprzedzenia klienta o wyznaczeniu substytutu), to przerażenie nie ma granic, bo brak tego wybranego, polecanego, godnego zaufania, wtajemniczonego. Przecież nawet najlepszy adwokat występujący w roli substytutu nie dorasta do pięt zastąpionego — w oczach klienta, rzecz jasna.